

# Romans z wodewilu

Jeśli się w dzieciństwie oglądało „Romans z wodewilu” i do tego w Krakowie, i do tego z Antonim Fertnerem, to wymagania wobec realizatorów tego klasycznego już musicalu będą duże, a może nawet zawyżone. Jestem w takiej właśnie sytuacji. Ów słynny krakowski spektakl szedł od 1947 r. ponad trzy-  
sta razy!

**N**IE ma co ukrywać, z obawami i niepokojem jechałem na przedstawienie do Radomia: czy melodramat młodych Gzysników wzrusza dziś jeszcze kogoś? Już pierwsze minuty spędzone na widowni radomskiego teatru rozwiewają wątpliwości, wszyscy bawią się znakomicie.

Najwięcej pochwał zebrać powinna **Barbara Fljewska** — reżyser i choreograf spektaklu. Nie znaczą to wszakże, że będziemy się na tym miejscu wyłączenie zachwycać.

Refleksja obyczajowa: spontaniczność reakcji widowni na dulszczyzną świadczy o tym, że społeczeństwo mamy moralnie zdrowe i wyczułone na krzywdę. Niechęć, odrążenie i potępienie ściągają na siebie radca Alfons Kłaczek Kłaczkowski, były tapicer pozujący na wielkomięjskiego burżuja. **Borys Borkowski** nazbyt serio i nazbyt hulaśliwie stara się dowodzić racji tej postaci. Wystarczyło przyjęcie pódystansu, odrobiny autoironii, by pan Kłaczek bawił nas swoją głupotą i bufonadą jeszcze lepiej. Bo takie jest jego w tym wodewilu zadanie. Publiczność zaś zda się nie dowierzać ani autorowi, ani twórcom przedstawienia: nie wierzy w wodewil, wierzy uparcie w melodramat. Z tym się trzeba liczyć, chociaż można się z tego śmiać.

„Romans z wodewilu” sprowadza nas na naszą ziemię, w sam środek naszych codziennych spraw. Bo niby nie ma mezalian-sów, a są. Bo niby nie ma drobniemszczaństwa i koltuństwa, a jest. Bo niby jednostki i rodziny mamy szczęśliwe, a jednak nie za bardzo.

Ten wodewil uprzytomnił nam jeszcze jedną prawdę: mamy u nas piękne tradycje rodzin uczciwych, solidarnych, pracowitych, troszczących się o godność jednostkową i zbiorową. Może dlatego, oglądając rzecz o solidarności rodzinnej i oddając się refleksjom i emocjom, zapominamy, że autorzy chcieli nas przede wszystkim zabawić?

Znakomicie bawi widownię **Andrzej Kałuża** w roli Alfreda Trzywdara Kręckiego, pretendenta do ręki Kamili — córki Kłaczków, jedynej godnej spadkobierczyni tępoty swych rodziców. /Zadziwiająca sprawność fizyczna wokalna Kałuży — wyjątkowością w pokoleniu młodzieży aktorskiej. Natomiast nachylenie postaci w kierunku operetki może, ale nie musi niepokoić.

Mniej można rozwodzić się nad rolę pań, chociaż bez nich nie zadzierzgnąłby się węzeł (melodramatyczny). Są przekonujące. I **Małgorzata Leśniewska** (Balbina Kłaczkowa), i **Katarzyna Terlecka** z **Grażyną Suchocką** (córki Kłaczków) i **Wioletta Zalewska**, **Maria Chróścielówna**, **Nina Mazgajska** z **Magdaleną Radłowską**. Autor poskąpił im wybitnych indywidualności i osobowości scenicznych. W cieniu pozostaje także para głównych bohaterów, **Katarzyna** i **Florian Gzysnikowie**, bardzo wzruszająco i bezpretensjonalnie zagranych przez **Zofię** i **Adama Krajewiczów**. Autor, chyba świadomie, głos oddał młodym, w końcu to ich perypetie napędzają akcję wodewilu. I ta radomska młodzież wywiązała się z tego zadania znakomicie. **Wiesław Krupa**, **Cezary Kazimierski**, **Janusz Hamerszmit**, **Krzysztof Kursa**, **Henryk Tomczyk** i **Hubert Bielawski** tworzą przekonującą artystycznie, zwartą w zakresie idei grupę młodzieży ofensywnej. Jakże tu nie wymienić **Jerzego Głębowskiego** — wzruszającego **Walentego** i przekomicznego w kapitalnym intermedium **Przechodnia**?

**CHCEMY WAS WZRUSZYĆ STARYM KRAKOWEM** — śpiewają na wstępie wodewilu jego wykonawcy. Zapowiadają też, że przygotowali beztroską zabawę i nic więcej. Może kryje się w tym częśćka przekory autora, może to my nie dorobiśmy do zabawy. Idziemy zatem spacerkiem przez Kraków akurat w czasie, gdy Radom odbudowuje swoją starówkę gdy Kraków — dawna stolica Polski staje się przedmiotem zainteresowania i troski władz centralnych. Nie zdziwiłbym się, gdyby dochód z jednego przedstawienia radomskiego przeznaczono na odbudowę zabytków Krakowa.

Można doszukać się w tym przedstawieniu walorów, które umknęły mojej uwadze, można przyjąć za najbardziej aktualne hasło zawołanie jednego z Gzysników: „**Nie pyskujcie, ino róbcie**”. Można ubolewać, że jesteśmy ubożsi i duchowo i „zabawowo” od naszych przodków, że folklor przedmieścia stał się dziś przedmiotem penetracji autorów węszących sensacje półświatka. I trzeba się cieszyć, że majster murarski, jego prosta małżonka, jego pracowite dzieci wzbudzają taki aplauz widowni. Może dlatego, że nie mówi się tu na scenie o planach, naradach, zjednoczeniach, związkach zawodowych i bhp, natomiast dosyć wnikliwie prześwietla się ludzkie sprawy. Tak bliskie, że aż wzruszające.

Ludowa zabawa. Każdy — od profesora wyższej uczelni po sprzątaczkę, gońca i palacza — znajdzie w radomskim teatrze okazję do rozładowania swych niepokojów, do bycia sobą. Nie znajdzie natomiast — a znaleźć powinien — okazji do uśmiania się ze współczesnych radomskich słabostek. Spiewane kuplety, przeróżne wtręty i aluzje powinny nam, zgodnie z konwencją gatunku, przybliżyć czasowo i geograficznie sprawę Gzysników. Niestety, ktoś przespał sprawę Oczywiście, najłatwiej zażartować z prowincjonalnego charakteru Kielc, ale ten żart przestał już bawić nawet radomian.

Zespół muzyczny pod kierunkiem **Ewaryta Sitkowieckiego** nie dał się (na szczęście!) nagrać i występuje „na żywo”, w każdym spektaklu. Jakaż to frajda! I jaki poziom! Ogromny trud towarzyszył narodzinom radomskich Gzysników, zatem trzeba im życzyć powodzenia nie mniejszego od tego krakowskiego z lat czterdziestych. Ze swej strony zapewniam, że nikt nie ma prawa nudzić się na tym spektaklu.

**STANISŁAW MIJAS**